

# Prolog

*Moje życie wyglądało jak sen. Z gatunku takich, z których człowiek nie chce się obudzić. A później okazało się, że to była cisza przed burzą. Cudowny spokój ciepłego letniego popołudnia na chwilę przed tym, zanim zerwie się wiatr. Czuliśmy też, że to nie był początek. Oboje staliśmy się nagle częścią historii, która wydarzyła się kilka stuleci wcześniej, ale w środku której się paradoksalnie znajdowaliśmy. Jak gdyby nasza historia rozpoczęła się dużo wcześniej. I niezależnie od tego, co robiliśmy, tamte wydarzenia wciągały nas coraz bardziej. Historia w historii. Pudełko w pudełku...*

# Rozdział 1

Był jasny, słoneczny dzień. Śnieg lśnił na stokach gór, których sylwetki majaczyły w oddali. Pozostanie tam jeszcze przez jakiś czas — do czerwca. Szczyty jak zwykle o tej porze roku skrywały chmury, które wędrowały po niebie powoli. Nie na tyle jednak, żeby przesłaniać na długo słońce. W górach na południu panowała jeszcze zima, ale łąki i las, które rozciągały się przed moim domem, rozjaśnione były ostrym światłem. Pierwsze promienie słońca. Niewątpliwie wiosenne.

Stałam w oknie i patrzyłam przed siebie, rozkoszując się przyjemnym ciepłem. Wiatr, który głośno huczał w nocy, roztopił resztki śniegu zalegającego w dolinie poniżej. Po zimie nie było już śladu. Po wietrze również. Niczym niezmaconą ciszę poranka przerywały tylko głosy ptaków. Dzisiaj śpiewały inaczej.

Oddychałam głęboko. W powietrzu czuć było wiosnę. I coś jeszcze. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że zmieniała się nie tylko pora roku. Przeczucie, że coś się zmienia, pojawiło się znikąd, ale było tak silne, że nie pozostawiało wątpliwości. Coś miało się wydarzyć.

Zamknęłam energicznie okno, jak gdyby strzepując jednocześnie z siebie niejasne wrażenia. Oderwałam wzrok od wiosennego pejzażu.

— Najwyższy czas — powiedziałam do siebie.  
Potrzebowałam zmian.

\*\*\*

Podeszłam do szafy i wyciągnęłam z niej czarne džinsy. Sięgnęłam po jedną z ciemnych bluzeczek, które wisiały rzędem jedna obok drugiej, ale zawahałam się przez moment. Do wyboru miałam kilka czarnych, trzy w różnych odcieniach szarości, grafit z lekko rozmytą aplikacją z przodu... Zmarszczyłam czoło.

— Nie... — powiedziałam do siebie. — Dzisiaj może coś jaśniejszego...

Odwiesiłam koszulkę z powrotem na miejsce i zaczęłam przeglądać ubrania z drugiego końca szafy, których dawno nie miałam na sobie. Moja dłoń spoczęła na wieszaku z błękitną bluzką z asymetrycznymi przeszyciami. Dostałam ją od mamy na Gwiazdkę, ale przez całą zimę nie założyłam jej ani razu. „Może być błękit” — pomyślałam.

Podreptałam do łazienki. Ubrałam się, umyłam zęby i twarz, i zaczęłam czesać włosy. Nie spieszyłam się. Powoli wykonywałam wszystkie czynności związane z poranną toaletą. Na koniec przyjrzałam się sobie w lustrze. „Trochę blado...” — oceniłam.

Sięgnęłam do kosmetyczki po mascarę. Kiedy już podkreśliłam oczy, uśmiechnęłam się do siebie. „Odrobinę lepiej” — przyznałam w duchu.

— Cześć mamó! — powiedziałam wesoło, wchodząc do kuchni.

Na mój widok mama prawie wstrzymała oddech. Szybko jednak wyszła z pierwszego szoku i odzyskała zdolność mówienia.

— Cześć... — zmierzyła mnie wzrokiem. — Widzę, że wiosna dotarła nawet do ciebie. Kochanie, nie poznaję cię...

Wzruszyłam ramionami, a mama przyjrzała mi się do-

kładniej, jak gdyby nadal nie wierzyła, że obraz, który uka-  
zał się jej oczom, to ten właściwy.

— Ładnie ci w tej bluzeczce — stwierdziła.

Przemilczała fakt, że nie nosiłam jej nigdy wcześniej.

— Dziękuję — uśmiechnęłam się.

Mama również. Ostatnio nie była przyzwyczajona do takiego widoku. Zazwyczaj o tej porze snułam się po domu z ponurą miną, w ciemnych ubraniach odzwierciedlających mój stan ducha.

— Wianka, skarbie... — zaczęła niepewnie.

Tylko mama tak się do mnie zwracała, a ja już dawno przestałam reagować na tę specyficzną formę zdrabniania mojego imienia. Wszyscy inni nazywali mnie po prostu Wi.

— A może wybrałabyś się na spacer? — dokończyła pytanie.

— Świetny pomysł — odpowiedziałam bez namysłu.

— Taki piękny dzień. Dotlenisz się trochę — przekonywała mnie, jak gdyby nie usłyszała mojej odpowiedzi.

— Okej, pójdę. Zobaczą, czy przebiśniegi zakwitły już w lesie.

Popatrzyła na mnie lekko zbита z tropu. Najwyraźniej przygotowana była na dalszą argumentację i nie sądziła, że uda jej się namówić swoją, jak to określała, „zbuntowaną nastolatkę”, na spacer tak szybko. W dodatku na oglądanie wiosennych kwiatów.

— Tylko nie odchodź sama za daleko... — powiedziała po to tylko chyba, żeby powiedzieć cokolwiek.

— Proszę cię, nie mam już pięciu latek — zaprotestowałam. — A nawet gdybym miała, co mogłoby mnie spotkać kilkaset metrów od domu? W sobotę przed południem... — dodałam.

Spojrzała na mnie wzrokiem osoby, która wiedziała lepiej. Byłam już prawie dorosła, ale dla mamy zawsze pozostawałam małą dziewczynką.

— Zresztą, co to za las. Trudno tu raczej mówić o gęstej puszczy — rzuciłam z przekąsem.

Tak, tego nie mogłam zrozumieć. Gospodarka zasobami leśnymi w naszej okolicy była zwyczajnym nieporozumieniem. Najpierw przez wiele dni słychać było ostry warkot pił spalinowych, które ścinały drzewa. Potem wąskimi drogami przetaczały się ciężkie samochody, które je wywoziły. A kiedy piły ucichły i ciężarówki odjechały, w miejscu, gdzie wcześniej rósł gęsty las, zostawały liczne, nieregularne polany... Od jakiegoś czasu widać było, że wycinka była bardzo intensywna.

— Dobrze, dobrze. Lepiej dmuchać na zimne. Wolałabym, żebyś się nie zgubiła — mama nie dawała za wygraną.

Przewróciłam oczami. Przesadzała na całego.

— Mamo, daj spokój. To tylko spacer. Pójdę w stronę ruin zamku. *Drogą* — podkreśliłam ostatnie słowo. — Zresztą to jest szlak turystyczny — dodałam przekonująco.

— Okej, ale uważaj na siebie...

— Jasne — mrugnęłam do niej. — Będę się trzymać z daleka od wilków i niedźwiedzi.

Mama zmarszczyła brwi.

— Wiesz przecież, że ja się zawsze będę o ciebie martwić.

Tak, wiedziałam. Rodzice byli naprawdę kochani, ale czasami również nadopiekuńczy. Los jedynaczki nie był wcale łatwy.

\*\*\*

Zjadłam szybko śniadanie. Założyłam kurtkę, buty i okulary przeciwsłoneczne, i wyszłam z domu. Rzeczywiście, było bardzo przyjemnie. Słońce było mocne, ale po-

wietrze ciągle jeszcze świeże. Oddychałam. Boże, naprawdę tego potrzebowałam.

Pokonałam szybko odcinek dzielący mnie od domu do granicy lasu. Tutaj zawsze zaczynała się przyjemniejsza część spaceru.

Weszłam do lasu. Uderzył mnie mój ulubiony, świeży zapach — zapach igieł, żywicy, pomieszany z zapachem drewna i wilgotnej ściółki. Resztki topniejącego śniegu leżały jeszcze gdzieś przy drodze w miejscach, które były bardziej zacienione. Spojrzałam w górę. Słońce świeciło coraz mocniej. Promienie przebijały się pomiędzy nagimi jeszcze o tej porze roku gałęziami drzew liściastych i rozlewały się po mokrej ziemi. Ona też miała swój zapach. Przebiśniewów nie było nigdzie widać. „Może trochę dalej” — pomyślałam.

Szłam powoli drogą prowadzącą na północ. Woda z roztopów wyrzeźbiła w niej dwa koryta. Spływała z góry cienkimi strużkami, wymywając żółtą glinę, która przyklejała się do butów. Minęłam niewielką polanę otoczoną młodymi świerkami i weszłam w głąb lasu. Drzewa były tutaj wyższe. Wznosiły się prawie do nieba. Teraz całkowicie zacieniały leśną drogę. Jakoś nigdy nie zwróciłam uwagi na to, że były tak rozłożyste i miały takie grube konary... I że były takie piękne. Piękne, ale zarazem trochę straszne... „Muszę chyba naprawdę zwracać większą uwagę na to, co mnie otacza” — pomyślałam. „Otworzyć oczy i patrzeć, a nie tylko *czuć*...” — to ostatnie dodałam z lekkim przekąsem.

Nigdy nie miałam większych problemów z wyczuwaniem nastrojów innych, a zwłaszcza moich bliskich. Wiedziałam, kiedy komuś było smutno, kiedy był wzburzony albo podekscytowany. Widziałam dokładnie, kiedy mama coś przeżywała lub kiedy tata był zmartwiony. Kiedy ich pytałam, co się dzieje, przeważnie odpowiadali, że wydaje mi się i że wszystko jest w porządku. Albo, co gorsza,

że znów „fantazuję”. Nie znosiłam tego słowa. Ja widziałam, albo raczej wyczuwałam swoje. Tak było kiedyś, zanim zamknęłam się zupełnie w sobie i nic prawie do mnie nie docierało. Skupiłam się na jednym tylko uczuciu, które zdominowało wszystko inne. „Najwyższy czas coś z tym zrobić” — pomyślałam.

W tym momencie poczułam, że mój nastrój się zmienia. Jak gdybym otworzyła się na nowo lub zrozumiała coś istotnego. Zmiana, najpierw subtelna, po chwili stała się bardziej wyraźna, wręcz namacalna. Mogłabym przysiąc, że nie byłam teraz sama.

Przystanąłam i rozejrzałam się dookoła, ale w pobliżu nie było nikogo. Tylko te ogromne drzewa... Czyżby to one odczuwały? Strach? Groźba? Niebezpieczeństwo? Jeszcze nigdy nie wyczuwałam czyichś emocji tak intensywnie. Płynęły do mnie niczym strumień wibracji. Uderzały bardzo silnie w każdy centymetr mojego ciała i przenikały do wnętrza.

Jeszcze raz popatrzyłam w okół siebie, ale nadal nikogo nie widziałam. Mój wzrok zatrzymał się ponownie na drzewach. Rozłożyste gałęzie jodeł zwisały w dół, uginając się pod ciężarem... zmarzniętego śniegu? Dlaczego są pokryte śniegiem? Przecież przed chwilą przeświecało przez nie ostre, wiosenne słońce. Śpiewały ptaki. Teraz było mi zimno, a wokół mnie panowała martwa cisza. Słyszałam tylko mój własny przyspieszony oddech.

Oderwałam wzrok od drzew i spojrzałam w dół. W szczelinach i zagłębieniach zalegała gruba warstwa śniegu. A mogłabym przysiąc, że jeszcze przed chwilą go tutaj nie było. Ziemia była wilgotna i twarda. Jeszcze zmrożona, ale śniegu nie było. Na pewno nie w takiej ilości... Zadrżałam.

Droga, która pięła się ku górze, coraz bardziej skrywała się w cieniu. Gęste korony drzew skutecznie zatrzymywały światło, nie pozwalając mu się przebić. Las ogarniał mrok. W środku dnia...

Poczułam, że chyba nie powinnam znaleźć się w tym miejscu. Chciałam odwrócić się i uciec, ale jakimś cudem nie mogłam znaleźć w sobie wystarczająco dużo siły. Stałam nieruchomo, jak sparaliżowana i patrzyłam tylko przed siebie w gęstniejący mrok. Emocje, które odbierałam, wnikały we mnie i wypełniały wszystko. Nie mogłam się przed nimi bronić.

Nagle coś się zmieniło. Oprócz strachu i zagrożenia wyczułam coś jeszcze — wołanie o pomoc. Ta niema prośba pojawiła się nagle i zaledwie na ułamek sekundy, ale wwierciła się w mój umysł, usuwając z niego wszystko inne. Ktoś był w niebezpieczeństwie. Potrzebował pomocy.

W mgnieniu oka dotarło do mnie, że muszę odpowiedzieć na to wołanie. Poczułam, że w moje ciało znów wstępuje energia i że mogę zrobić krok do przodu. Rozsądek nakazywał mi odwrócić się i uciekać czym prędzej, ale jakaś niewidzialna siła, która najpierw zatrzymała mnie w miejscu, teraz popychała mnie do przodu. W kierunku, który zdawał się być nieodgadniony. Nie rozumiałam, co takiego się działo, ale jedno wiedziałam na pewno — że muszę tam pójść.

Ruszyłam przed siebie. Leśna droga skręcała teraz w prawo i przechodziła w wąwóz, a raczej w niewielki jar. Dno wąwozu wyścielały kamienie. Pamiętałam, że obecny na tym terenie żółty piaskowiec widoczny był tu i ówdzie, ale teraz kamienie ułożone były równo, w regularny trakt. Jak gdyby droga była często uczęszczana. Spojrzałam w górę. W tym miejscu drzewa nie rzucały już tak gęstego cienia. Widoczność poprawiła się. Zrobiło się odrobinę jaśniej.

Szłam dosyć szybko, mimo iż podejście było naprawdę strome. Wydawało mi się, że idę tak całą wieczność, ale było to tylko kilkaset metrów. Zbliżałam się do zakrętu. Teraz zaledwie parę kroków dzieliło mnie od tego, co skrywało się za nim. Pokonałam je bez wahania.



Zatrzymałam się. Zdziwiona patrzyłam w pustą przestrzeń. Przede mną nie było nikogo — zmarznięta droga, która biegła przez chwilę prosto na północny-zachód. W tym miejscu dołączała do niej inna, mniejsza droga a właściwie ścieżka, która odbijała na zachód, w stronę kolejnej miejscowości. Główny szlak prowadził na północ w kierunku ruin. Do Zamku na Wzgórzu było stąd już naprawdę blisko.

Stałam zupełnie sama pośrodku wąwozu, praktycznie na skrzyżowaniu leśnych dróg. Nie widziałam nikogo. Mimo to emocje, które przed chwilą odebrałam, nie rozwiały się. Nadal odczuwałam strach. I owo nieme wołanie o pomoc.

— Spokojnie, pomogę ci — powiedziałam mimowolnie.

Mój własny głos zdekoncentrował mnie na chwilę. I chyba nie tylko mnie. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch po prawej stronie tuż nad wąwozem. Popatrzyłam odruchowo w tamtym kierunku.

I wtedy ich zobaczyłam. Stali nieruchomo w leśnej głuszy. A raczej siedzieli na koniach i wpatrywali się we mnie. Pięciu jeźdźców w średniowiecznych strojach. Pięć postaci z zupełnie innej epoki... filmu... baśni... Ich głowy skrywały lśniące metalowe kaptury, które rozlewały się na ramiona i piersi, i spływały do pasa. Ubrani byli w ciemno-zielone peleryny, z przodu spięte klamrą, długie do ziemi. Byli tak blisko mnie, a jednocześnie wydawali się jacyś tacy odlegli. Jak gdybym patrzyła na obraz, a nie na żywych ludzi. Ale byli tam. Oddychali. Widziałam parę wodną unoszącą się z ich ust. Słyszałam ciche odgłosy chrap koni przytrzymanych przez chwilę w miejscu. Czułam na sobie ich spojrzenia — równie zdziwione jak moje.

Na przodzie znajdował się mężczyzna w ciemnym kapturze, ciemniejszym trochę od innych. Nie potrafiłam ocenić, ile mógł mieć lat, ale wydawał się być dosyć młody. Kaptur zakrywał jego włosy. Tylko nieliczne zabłąkane ko-

smyki wystawały na zewnątrz i spływały wokół twarzy. Jednak to, co najbardziej przykuło moją uwagę, to jego spojrzenie — jasne, hipnotyzujące, ale zarazem silne i zdecydowane. Idealne połączenie odcienia intensywnego nieba z delikatną nutą zieleni, która dodawała tym oczom tajemniczości. Najpiękniejsze oczy, w jakie kiedykolwiek spoglądałam. I najbardziej intrygujące. Co więcej, miałam niejasne wrażenie, że skądś te oczy znam, że gdzieś już je widziałam... Próbowałam sobie przypomnieć gdzie. Na próżno. Magnetyczne spojrzenie jeźdźca przesłaniało wszystko inne, nawet moje wspomnienia. W jednej chwili dostrzegłam w tych oczach głęboką tęsknotę. Tęsknotę tak wielką, że zastąpiła prośbę o pomoc, która wcześniej przeniknęła w mój umysł. Poczułam nagle, że chcę się w niej zanurzyć.

Patrzyłam na mężczyznę w ciemnym kapturze przez dobrą chwilę, a może tylko przez ułamek sekundy. Nie potrafiłam tego ocenić. Miałam świadomość, że coś dziwnego działo się z czasem. Płynął zupełnie inaczej.

Jakimś cudem oderwałam wzrok od pięknych niebiesko-zielonych oczu i spojrzałam na całą grupę. Mężczyzna, który znajdował się najdalej ode mnie, obejrzał się nerwowo za siebie, po czym powiedział coś do pozostałych. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

— Die Wlokyne kompt — usłyszałam.

Słowa wypowiedziane były z dziwnym akcentem, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Gdzieś głęboko w mojej podświadomości zapaliło się ostrzegawcze światełko. Wydawało mi się, że ta informacja jest bardzo istotna, ale nie mogłam skoncentrować się na tyle, żeby spróbować zrozumieć wiadomość. Zamiast tego wpatrywałam się w całą grupę z niemym zdziwieniem. Z wzajemnością. Widziałam, jak mierzą mnie wzrokiem, jak gdybym stanowiła dla nich nie lada zagadkę. Najwidoczniej próbowali mnie jakoś zaklasyfikować, ale brakowało im kategorii. Średnio-

wieczni jeźdźcy stanowili dziwne zjawisko na leśnej drodze, ale paradoksalnie to ja czułam się zupełnie nie na miejscu. Ubrana w niebieski windstopper i buty do trekingu, w przeciwsłonecznych okularach na głowie, nie pasowałam kompletnie do scenerii, w jakiej się nagle znalazłam.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem jeszcze przez krótką chwilę, po czym jeźdźcy zjechali do wąwozu i ruszyli drogą w dół. Nagle znaleźli się tak blisko. Byli dosłownie na wyciągnięcie ręki. Odsunęłam się, robiąc im miejsce. Przejechali tuż obok mnie, jak gdyby mnie tam nie było. Mężczyzna w ciemnym kapturze został nieco z tyłu. Odwrócił się i nasze oczy spotkały się znowu na krótko. Teraz były chyba jeszcze bardziej zielone niż chwilę wcześniej i przyciągały jeszcze bardziej. Mięśnie jego twarzy drgnęły. Zaważał się, jak gdyby podejmował właśnie życiową decyzję. W końcu odwrócił się i podążył za pozostałymi. Odjechali na południe. W mgnieniu oka zniknęli w gęstwinie lasu. Patrzyłam za nimi, ale już ich nie było.

Zostałam sama na środku drogi. Przed oczami miałam ciągle obraz pięknych oczu. Nadal czułam na sobie ich intensywne spojrzenie. Czułam też głęboką tęsknotę, jaka z tych oczu emanowała. Wiedziałam, że zapamiętam ją na długo.

Nagle wydało mi się, że coś słyszę. Wytężyłam słuch. Dźwięk nasilił się. Po chwili nie miałam wątpliwości, co do mnie docierało — odgłos galopujących kopyt. Koni było kilka. Kopyta uderzały rytmicznie o zmarznięte skaliste podłoże. Zbliżały się w szybkim tempie. Wiedziałam, że lada moment wyłonią się z za zakrętu. „Die Wlokyne kompt” — odbiło się echem w mojej głowie. Mój mózg pracował szybko. W jednym momencie zrozumiałam wszystko. Kontekst, w jakim się znalazłam. Jakby wszystkie fragmenty układanki wskoczyły nagle na swoje miejsce. Wiedziałam już, w którym stuleciu jestem i z kim

mam do czynienia. I zrozumiałam jeszcze jedno — tu było niebezpiecznie. Szalenie niebezpiecznie...

Nie miałam czasu, żeby się zastanawiać, dlaczego się tu znalazłam albo jak to w ogóle było możliwe. To musiało poczekać. Mój instynkt samozachowawczy nakazywał mi w tym momencie jedno — ucieczkę.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu miejsca, które mogłoby posłużyć mi za schronienie. „Szybko” — ponagliłam się w duchu. Tętent kopyt nasilił się. Wiedziałam, że z za zakrętu wypadnie zaraz grupa jeźdźców. Intuicja podpowiadała mi również, że spotkanie z nimi może nie być tak spokojne jak spotkanie z pierwszą grupą.

Tuż przy drodze dostrzegłam przewrócone drzewo. Była to olbrzymia jodła, która rosła kiedyś na zboczu. Pozostała po niej spora jama, a wyrwane z ziemi korzenie zwiisały nad nią niczym ażurowy parasol. Nie miałam czasu do stracenia. Przebiegłam dzielące mnie od korzenia metry i wskoczyłam do zagłębienia, kuląc się najniżej, jak tylko mogłam. W tej sekundzie dostrzegłam najpierw końskie łby, a następnie sylwetki jeźdźców.

Grupa wypadła z za zakrętu i zobaczyła to samo, co ja wcześniej — pustą drogę. Zatrzymali się w jednej chwili. Rozpędzone konie próbowały jeszcze wrywać się do przodu, ale ręce jeźdźców mocno trzymały za wodze.

Było ich sześciu. Ubrani byli w podobny sposób, jak grupa, za którą podążali. Na samym przodzie znajdowała się kobieta. Miała długie, ciemne włosy i była piękna. Ciężko było stwierdzić, ile mogła mieć lat. Wydawała się jakaś beczasowa. Jednak to nie jej uroda najbardziej rzucała się w oczy, ale siła i zdecydowanie, jakie od niej emanowały. Nie było wątpliwości, że to ona tutaj dowodzi. Wiedziałam, na kogo patrzeć. Groźna Pani na Zamku.

Rozejrzała się wokół siebie. Głowę miała uniesioną wysoko. Czoło jasne, spojrzenie przenikliwe, ale zimne. Zadrżałam mimowolnie i jeszcze mocniej skuliłam się

w sobie. Po krótkiej chwili, która dla mnie ciągnęła się w nieskończoność, kobieta musiała dostrzec coś na drodze w dole, bo skinęła ręką na pozostałych i wskazała kierunek. Uśmiechnęła się, ale nie był to przyjacielski uśmiech. Raczej uśmiech zadowolenia, jak gdyby świętowała swoje prywatne zwycięstwo.

Spięła konia i ruszyła przed siebie. Inni podążyli za nią i zniknęli we mgle. W powietrzu unosiły się jeszcze zeszłoroczne liście wyrzucone w górę spod galopujących końskich kopyt.

Odczekałam kilka minut. Odgłos pędzących koni cichł powoli, aż po chwili zupełnie ustał. Wydostałam się z mojej kryjówki i wyszłam na drogę. Wyteńczyłam wzrok, ale w kierunku, w którym udały się obie grupy jeźdźców, nikogo nie było widać. Przede mną roztaczał się widok na las i przełęcz wraz z przeciwległą Górą Zamkową. Nigdzie w pobliżu nie było żywej duszy. Panowała cisza, którą zagłuszało jedynie rytmiczne bicie mojego serca i mój przyspieszony oddech. Nie wyczuwałam już strachu ani prośby o pomoc. Czułam za to, że znalazłam się w nieodpowiednim miejscu. I czasie. Adrenalina, która krążyła ciągle jeszcze w moich żyłach, zaczynała opadać powoli, a ja wiedziałam tylko, że powinnam się jak najszybciej stamtąd wydostać.

\*\*\*

Ruszyłam ścieżką w dół, w stronę domu. Biegłam, ile sił w nogach. Nie widziałam nawet drzew, które mijałam. Biegłam po prostu, byle jak najdalej od drogi do ruin zamku. I jego piętnastowiecznych mieszkańców.

Kiedy dotarłam do polany na skraju lasu, poczułam się zupełnie wyczerpana, całkowicie pozbawiona energii.

Nie potrafiłam zapanować nad swoim ciałem. Nogi zupełnie odmówiły mi posłuszeństwa. Wydawało mi się, że wszystko wokół mnie wiruje. Żeby się nie przewrócić, usiadłam pospiesznie na mchu. Oddychałam szybko, ze świstem łapiąc powietrze. Objęłam rękami kolana i zamknęłam na chwilę oczy.

Kiedy je otworzyłam, zorientowałam się, że leżę na ziemi. Wstałam powoli i strzepałam z ubrania gałązki mchu. Nadal kręciło mi się w głowie. Czyżbym zemdląła? Zdarzyło mi się to kiedyś, ale i tak nie mogłam w to uwierzyć.

Rozejrzałam się niepewnie w okół siebie. Zobaczyłam, że znów świeci słońce, a jego promienie tańczą wesoło po ziemi. To wiatr poruszał gałęziami drzew, które nie wydawały mi się już takie potężne, nieruchome i straszne. Przyjemne ciepło słońca rozlało się po mojej twarzy, rozpraszając mroczne myśli. To słońce chyba też sprawiło, że jak ręką odjął ulotniły się wszystkie emocje, jakie jeszcze przed chwilą tak intensywnie odczuwałam. Przed chwilą? A może dawno temu? Bo nic absolutnie nie wskazywało już na to, że właśnie spotkałam kogoś w mroku lasu. Ptaki śpiewały wesoło. Wysoko na niebie dwa jastrzębie zataczały kręgi. Nigdzie nie widać już było śladu śniegu ani mgły. „Musiało mi się to przyśnić” — pomyślałam i ruszyłam w stronę domu, wpatrując się w czysty błękit nieba. Słońce oślepiło mnie, więc spojrzałam w dół. Tuż pod moimi stopami rosły przebiśniegi. Było ich tak dużo, że tworzyły biało-zielony dywan. Wyminęłam je i wyszłam z powrotem na drogę. Gdy opuszczałam las, czułam, jak w moje ciało wstępuje nowa energia.

Zdarzenie w lesie stało się nagle tylko mglistym wspomnieniem. Moja podświadomość podpowiadała mi, że spotkało mnie coś niesamowitego, ale wydawało się to tak nierealne, że nie mogło być niczym innym, jak tylko snem. Snem, po którym w mojej pamięci pozost

stał jedynie obraz tajemniczych niebieskich oczu z delikatną nutą zieleni. Oczu, których nie dało się zapamiętać.

\*\*\*

Kiedy wyszłam z lasu, wszystkie niejasne myśli o tym, że coś niecodziennego mogło mnie spotkać na drodze do zamku, opuściły mnie już zupełnie. Nadal nie mogłam uwierzyć w to, że zasnęłam na polanie. „Co za pomysł” — westchnęłam. „Chociaż, gdybym miewała takie sny, to chyba nie mam nic przeciwko” — uśmiechnęłam się do siebie.

Po raz kolejny przypomniały mi się piękne niebieskozielone oczy. Zamknęłam na chwilę swoje i w myślach wpatrywałam się w oczy w mojej głowie. Nie widziałam już wyraźnie twarzy nieznanego, tylko te oczy. Ale takie oczy istnieją tylko w baśniach... Albo w snach. „Wracaj na ziemię, Wiwiana” — uśmiechnęłam się ponownie i przyspieszyłam kroku.

Kiedy doszłam do bramy naszego ogrodu, usłyszałam znajome szczekanie. Gdy tylko znalazłam się wewnątrz ogrodzenia, tuż przy mnie pojawił się nasz biały owczarek szwajcarski.

— Niemożliwe. Laki, ty szczekasz na mnie? — zganiłam ją.

Laki popatrzyła na mnie swoimi bystrymi oczami, jak gdyby chciała się usprawiedliwić, po czym obwąchała mnie i zaszczekała jeszcze raz.

— Dobrze, już dobrze — pogłaskałam ją. — Wiem, wiem... zapachy lasu.

— Mogłaś zabrać ją z sobą — usłyszałam. — Jej też spacer by nie zaszkodził.

Mama oczyszczała właśnie rabatkę z zeszłorocznych liści. Jak zwykle, robiła to bardzo dokładnie, wręcz przesadnie.

— W zasadzie mogłam — powiedziałam. — Ale wtedy nie poszłabym do lasu. Tam jest zdecydowanie zbyt dużo tropów. Wybacz mi, Lakusiu. Następnym razem.

Laki pomerdała ogonem, po czym pobiegła w swoją stronę.

— Widzę, że rozpoczęłaś sezon — zwróciłam się do mamy. — Drżycie chwasty! — zażartowałam.

Popatrzyła na mnie spod oka.

— Wiwiana, dobrze wiesz, że to nie jest czas na wyrywanie chwastów — powiedziała oburzona moją ignorancją w zakresie ogrodnictwa.

Żeby to podkreślić, celowo nie zdrobniła mojego imienia.

— Tak, wiem, najpierw muszą wyrosnąć. Jeśli w ogóle dasz im szansę.

Mama zmarszczyła brwi, ale po chwili uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że spacer dobrze ci zrobi. I jak — znalazłaś przebiśniegi?

— Przebiśniegi? Tak, zakwitły już. Natrafiłam na cały dywan kwiatów na polance na skraju lasu.

— Zobacz, krokusy też wschodzą — powiedziała z dumą, wskazując na małe pączki okolone spiczastymi, zielonymi listkami, które ledwo wystawały z ziemi. — Ciekawe, czy wszystkie kolory zakwitną. We wrześniu zasadziłam lilie.

Dla mojej mamy istniały tylko dwie pory roku: czas, w którym można się było zajmować ogrodem, czyli od wczesnej wiosny do późnej jesieni oraz zima. W czasie pory „ogrodowej” nie można jej było praktycznie zastać w domu. Kochała swoje kwiaty i krzewy, i pielęgnowała je z prawdziwą pasją. Tę pasję podzielał po części również tata, ale czasami ciężko mu było nadążyć za jej mniej



lub bardziej szalonymi pomysłami, jak na przykład ogród japoński. Zimą mama z równym zaangażowaniem, co ogrodnictwu, oddawała się swojej drugiej pasji — historii. Była historykiem z wykształcenia i zamiłowania. Pracowała w szkole podstawowej, a po pracy zajmowała się zgłębianiem historii naszej okolicy. Zamykała się wtedy w swoim gabinecie i świat dla niej nie istniał. Parę dni temu opuściła gabinet, żeby teraz zainstalować się praktycznie na stałe w ogrodzie.

— Szybko wróciłaś z tego spaceru — skwitowała po chwili. — Może zostaniesz jeszcze ze mną tutaj na chwilę? — zaproponowała.

Spojrzałam na zegarek. Była dopiero dwunasta. A więc spacer zajął mi tylko godzinę. A mnie się wydawało, że co najmniej kilka. Uśmiechnęłam się do mamy.

— Mam do napisania wypracowanie na język polski. A wieczorem idę na osiemnastkę do Pauliny. Pamiętasz? Mówiłam ci wczoraj.

— Tak, tak. Pamiętam.

— Będziesz w stanie po mnie przyjechać o jakiejś sensownej porze?

— Sensownej to znaczy jak najpóźniej? — spojrzała na mnie z błyskiem w oku.

Odpowiedziałam uśmiechem.

— Masz szczęście. Akurat wybieramy się z tatą do kina na dwudziestą, więc tak realnie, będę mogła cię odebrać dopiero koło dwudziestej trzeciej. Nie będziesz chyba narzekać, co?

— Nie, skąd. Świetnie się składa. Pierwsza osiemnastka naszego rocznika. Zapowiada się niezła impreza.

— No to teraz mnie nastraszyłaś! Może jednak dam sobie spokój z tym kinem...

— Nie! — krzyknęłam natychmiast. — Będziemy grzeczni jak aniołki. Jak zwykle zresztą.

Zrobiłam minę niewiniątka.

— Dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że nie wymyślisz nic głupiego, ale tak szczerze, to wolę już zaryzykować to, niż widzieć cię znowu smutną...

— No wiesz co? Ja i głupie wyskoki — roześmiałam się. — Wyluzuj, mamo. Nie planuję naprawdę nic odbiegającego od normy.

— Jak ja lubię, kiedy jesteś taka pełna energii i entuzjastyczna. Naprawdę mi tego brakowało... — powiedziała, patrząc mi w oczy.

W to akurat byłam w stanie w pełni uwierzyć. Spuściłam wzrok. Znow poczułam wyrzuty sumienia i postanowiłam, że tym razem na pewno się poprawię. Spojrzałam na mamę i już miałam otworzyć usta, żeby jej to obiecać, ale uprzedziła mnie.

— Ciii... Słyszysz?

Stała nieruchomo i patrzyła w górę na sosny, które rosły wzdłuż ogrodzenia.

— Co? — zapytałam zdziwiona.

— Szyszki pękają.

— Co takiego?

— Szyszki pękają i nasiona się z nich wysypują — wyjaśniła.

— I ty to słyszysz?

— Oczywiście — powiedziała entuzjastycznie.

— Słuchasz pękających szyszek?

— Tak — przytaknęła, jak gdyby to była najbardziej naturalna czynność.

W tym momencie nie mogłam się nie roześmiać.

— Mammo, czy ty na pewno jesteś normalna?

— Normalna, normalna — powtórzyła za mną z przekąsem. — Jak najbardziej. A ty... — ponownie spojrzała mi w oczy — też powinnaś wsłuchać się czasem w dźwięki natury — dodała.

— Okej — uśmiechnęłam się. — Posłucham szyszek.

— Ach, coś mi się przypomniało — mama jak zwykle

płynnie przeszła do innego tematu. — Tomek dzwonił jakieś pół godziny temu i prosił, żebyś oddzwoniła. Rzecz jasna próbował wcześniej na twoją komórkę, ale nie mógł cię złapać.

— Zaraz do niego oddzwonię — powiedziałam odruchowo i skierowałam się w stronę domu.

\*\*\*

Zrobiłam sobie kanapkę z awokado i serem. Trochę zgłodniałam po wyprawie do lasu. Świeże powietrze zrobiło swoje. Nalałam też szklankę soku pomarańczowego i wyciągnęłam z szafki pół tabliczki mojej ulubionej czekolady z nadzieniem malinowym, po czym poszłam na górę do swojego pokoju. Zerknęłam na komórkę, która leżała na biurku. Cztery nieodebrane połączenia. Nie musiałam nawet sprawdzać, kto dzwonił. Wiedziałam, że to on. Normalnie oddzwoniłabym natychmiast, nie mogąc się doczekać, żeby usłyszeć jego głos, ale dzisiaj usiadłam na sofie i jadłam powoli kanapkę, popijając sokiem. Na koniec zabrałam się za czekoladę. Czułam jej aksamitny smak rozpływający się w ustach. Czułam też, jak glukoza rozchodzi się po moich żyłach. Jednocześnie nabierałam coraz większej pewności, że zmiany, które wyczułam rano, będą dotyczyć również Tomka. Albo przede wszystkim jego.

— Nie, to nie ma sensu — powiedziałam na głos.

Włączyłam swoją ulubioną muzykę. Wszechmogący głos Florence wypełnił ciszę. Patrzyłam znów przez okno na góry. Wróciłam myślami do momentu, kiedy poznałam Tomka. A właściwie poznałam go na nowo.